

STEPHEN
KING

PUDEŁKO
Z GUZIKAMI GWENDY



RICHARD
CHIZMAR

1

Z miasteczka Castle Rock do punktu widokowego Castle View prowadzą trzy drogi: szosa 117, Pleasant Road i Schody Samobójców. Tego lata codziennie – tak, nawet w niedzielę – dwunastoletnia Gwendy Peterson wchodzi po schodach, zamocowanych solidnymi (choć zardzewiałymi ze starości) żelaznymi bolcami, wspinających się zygzakiem po zboczu. Pierwsze sto pokonuje zwykłym krokiem, na następną setkę wbiega truchtem i zmusza się, żeby przyspieszyć na ostatnich stu pięciu, pędząc – jak powiedziałby jej ojciec – na złamanie karku. Na szczycie pochyla się i obejmuje kolana; twarz ma czerwoną, kosmyki włosów przylepiają się jej do spoconych policzków (zawsze wymykają się z końskiego ogona przy ostatnim sprincie, choćby nie wiadomo jak ciasno je wiązała), i sapie jak stara pociągowa szkapa. Jednak zrobiła postępy. Kiedy się prostuje i spogląda w dół wzdłuż swojego cia-

ła, widzi czubki tenisówek. Nie widziała ich w czerwcu, w ostatnim dniu szkoły, który, tak się składa, był również jej ostatnim dniem w szkole podstawowej w Castle Rock.

Przepecona koszula oblepia jej ciało, ale ogólnie biorąc, Gwendy czuje się całkiem dobrze. W czerwcu mało nie dostawała zawału za każdym razem, kiedy docierała na szczyt. Z pobliskiego placu zabaw dochodzą okrzyki dzieci. Trochę dalej rozlegają się brzęknięcia aluminiowego kija uderzającego w piłkę baseballową, kiedy dzieciaki z Ligi Seniorów trenują przed meczem charytatywnym w Święto Pracy.

Gwendy wyciera okulary chusteczką, którą nosi w tym celu w kieszeni szortów, i wtedy słyszy, że ktoś się do niej zwraca:

– Hej, dziewczyno. Podejdz no tu na chwilę. Musimy pogadać, ty i ja.

Gwendy nakłada okulary i rozmazany świat się wyostrza. Na ławce w cieniu, obok zwirowanej ścieżki prowadzącej od schodów do Parku Rekreacyjnego Castle View, siedzi mężczyzna w czarnych dżinsach, czarnej marynarce jak od garnituru i białej koszuli rozpiętej pod szyją. Na głowie ma mały, schludny czarny kapelusz. Przyjdzie czas, kiedy Gwendy będzie śniła koszmary o tym kapeluszu.

Mężczyzna siedział na tej ławce codziennie przez cały tydzień i zawsze czytał tę samą książkę (*Tęcza grawitacji*,

gruba i wygląda na ciężką lekturę), ale nigdy się nie odzywał, aż do dzisiaj. Gwendy przygląda mu się nieufnie.

– Nie powinnam rozmawiać z obcymi.

– To dobra rada. – Jest chyba w wieku jej ojca, czyli jakieś trzydzieści osiem lat, i całkiem nieźle wygląda, ale nosi czarną marynarkę od garnituru w gorący sierpniowy poranek, więc według Gwendy jest potencjalnym świrem. – Pewnie mama ci tak poradziła?

– Ojciec – odpowiada Gwendy. Musi go minąć, żeby się dostać na plac zabaw, a jeśli naprawdę świr, może próbować ją złapać, ale ona niespecjalnie się boi. W końcu jest biały dzień, plac zabaw jest niedaleko i pełen ludzi, i już odzyskała oddech.

– W takim razie – mówi mężczyzna w czarnej marynarce – pozwól, że się przedstawię. Nazywam się Richard Farris. A ty jesteś...?

Ona się zastanawia, potem myśli: co mi szkodzi?

– Gwendy Peterson.

– No widzisz. Już się znamy.

Ona kręci głową.

– To, że się zna czyjeś nazwisko, nie znaczy jeszcze, że się go zna.

Mężczyzna odrzuca głowę do tyłu i wybucha śmiechem. To absolutnie czarujące, szczery dobry humor, i Gwendy nie może powstrzymać uśmiechu. Trzyma się jednak na dystans.

On celuje w nią palcem jak z pistoletu: puf.

– To było dobre. Niezła jesteś, Gwendy. A skoro o tym mowa, co to w ogóle za imię?

– Połączenie. Mój ojciec chciał Gwendolyn... tak miała na imię jego babcia... a mama chciała Wendy, jak z *Piotrusia Pana*. Więc poszli na kompromis. Jest pan na wakacjach, panie Farris? – To całkiem prawdopodobne; ostatecznie są w Maine, a Maine ogłasza się Krainą Wakacji. Nawet umieszczają to na tablicach rejestracyjnych.

– Można tak powiedzieć. Podróżuję tu i tam. W jednym tygodniu Michigan, w drugim Floryda, potem może wyskoczę na Coney Island, na pikantne chili i przejażdżkę na kolejce górskiej. Można mnie nazwać włóczęgą, a Ameryka to mój rewir. Mam oko na pewnych ludzi i sprawdzam ich co jakiś czas.

Na boisku za placem zabaw rozlega się *brzdęk* i słychać wiwaty.

– No, miło się z panem rozmawiało, panie Farris, ale naprawdę muszę...

– Zostań jeszcze trochę. Widzisz, jesteś jedną z tych osób, które ostatnio mam na oku.

To powinno zabrzmieć złowieszczo (i trochę zabrzmiało), ale na jego twarzy wciąż widać resztki uśmiechu, oczy mu błyszczą i jeśli jest zbokiem, dobrze to ukrywa. Jak pewnie najgroźniejsi z nich, przypuszcza Gwendy. Wstąpił do mego salonu, rzekł pająk do muchy.

– Mam teorię na twój temat, panno Gwendy Peterson. Stworzoną, jak wszystkie najlepsze teorie, na podstawie bliskich obserwacji. Chcesz ją usłyszeć?

– Jasne, czemu nie.

– Zauważyłem, że jesteś trochę przy kości.

Chyba widzi, że ona spina się na te słowa, bo podnosi rękę i kręci głową, jakby chciał powiedzieć: „Nie tak szybko”.

– Może nawet uważasz, że jesteś gruba, bo dziewczęta i kobiety w tym naszym kraju mają dziwne pojęcie o swoim wyglądzie. Media... Wiesz, co to są media?

– Jasne. Gazety, telewizja, „Time” i „Newsweek”.

– Zgadza się. No więc dobrze. Media mówią: „Dziewczyny, kobiety, możecie być, jakie chcecie w tym nowym wspaniałym świecie równości, dopóki widzicie swoje palce u nóg, kiedy staniecie prosto”.

On jednak mnie śledzi, myśli Gwendy, bo robię to codziennie, kiedy wejdę na szczyt. Rumieni się. Nic nie może na to poradzić, ale ten rumieniec jest powierzchowny. Pod nim kryje się wyzywająca postawa „I co z tego”. Właśnie to sprawiło, że w ogóle zaczęła wchodzić na te schody. To i Frankie Stone.

– Moja teoria głosi, że ktoś ci dogryzał z powodu twojej wagi albo wyglądu, albo jednego i drugiego, i postanowiłaś zająć się tą sprawą. Trafiłem? Może nie w dziesiątkę, ale przynajmniej gdzieś w tarczę?

Chyba dlatego, że on jest obcy, Gwendy odkrywa, że może mu powiedzieć to, czego nie wyznała żadnemu z rodziców. Albo może to przez jego błękitne oczy, zainteresowane i zaciekawione, ale bez złośliwości... przy najmniej ona nic takiego nie widzi.

– Jeden chłopak w szkole, Frankie Stone, zaczął mnie przezywać Goodyear. Wie pan, jak...

– Jak balon, tak, znam balony reklamowe opon Goodyear.

– Uhum. On jest obrzydliwy.

Chciała opowiedzieć mężczyźnie, jak Frankie paraduje po placu zabaw i wyśpiewuje: „Jestem Frankie Stoner z półmetrowym członem!”, ale się rozmyśliła.

– Kilku innych chłopców też zaczęło mnie tak przezywać, a potem podłapały to niektóre dziewczyny. Nie moje przyjaciółki, inne dziewczyny. To było w szóstej klasie. W przyszłym miesiącu idę do gimnazjum... więc...

– Postanowiłaś, że nie zabierzesz tam ze sobą tego przezwiska – dokończył pan Richard Farris. – Rozumiem. Poza tym urosłaś, wiesz. – Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów, ale nie w taki sposób, żeby dostała gęziej skórki. Raczej jak naukowiec. – Myślę, że dojdiesz do jakiegoś metra siedemdziesiąt siedem, siedemdziesiąt osiem, zanim skończysz rosnąć. Sporo jak na dziewczynę.

– ...więc postanowiłam nie czekać – mówi Gwendy. – Nie zamierzam czekać.

– Dokładnie tak, jak myślałem – mówi Farris. – Nie czekaj, nie jęcz, nie narzekaj, tylko bierz się do roboty. Śmiało naprzód. Godne podziwu. Dlatego chciałem cię poznać.

– Miło się z panem rozmawiało, panie Farris, ale muszę już iść.

– Nie. Musisz zostać właśnie tutaj. – Przestał się uśmiechać. Twarz ma surową, błękitne oczy wydają się teraz szare. Kapelusz rysuje mu na czole cienką linię cienia, przypominającą tatuaż. – Mam coś dla ciebie. Prezent. Ponieważ jesteś tą wybraną.

– Nie biorę niczego od obcych. – Teraz Gwendy trochę się boi. Może nawet bardziej niż trochę.

– To, że się zna czyjeś nazwisko, nie znaczy jeszcze, że się go zna. Tu się z tobą zgadzam, ale nie jesteśmy obcy, ty i ja. Ja cię znam, a ty wiesz, że ta rzecz, którą mam, została zrobiona dla kogoś takiego jak ty. Kogoś, kto jest młody i mocno stoi nogami na ziemi. Wyczułem cię, Gwendy, na długo, zanim cię zobaczyłem. I oto jesteś. – Przesuwa się na koniec ławki i klepie miejsce obok siebie. – Chodź, usiądź przy mnie.

Gwendy podchodzi do ławki, czując się jak we śnie.

– Czy pan... panie Farris, czy pan chce mnie skrzywdzić?

On się uśmiecha.

– Złapać cię? Zaciągnąć w krzaki i może zmusić do

niecnych czynów? – Pokazuje na drugą stronę ścieżki, jakieś piętnaście metrów dalej. Dwa albo trzy tuziny dzieciaków w koszulkach Półkolonii Castle Rock bawi się na huśtawkach, zjeżdżalniach i małych gajach pod nadzorem czwórki opiekunów. – Chyba nie usłoby mi to na sucho, jak myślisz? Poza tym młode dziewczyny nie interesują mnie seksualnie. W ogóle mnie nie interesują, z zasady, ale jak już mówiłem... a przynajmniej sugerowałem... ty jesteś inna. A teraz usiądź.

Gwendy siada. Pot pokrywający jej ciało zrobił się zimny. Przez głowę przechodzi jej myśl, że mimo całego tego elokwentnego gadania mężczyzna spróbuje ją pocałować, nie zważając na dzieciaki na placu zabaw i ich nastoletnich opiekunów. Ale on tego nie robi. Sięga pod ławkę i wyciąga brezentowy worek ściągany u góry sznurkiem. Otwiera go i wyjmuje piękne mahoniowe pudełko; drewno lśni brązem tak głębokim, że na powierzchni widać maleńkie czerwone błyski. Pudełko ma jakieś trzydzieści pięć centymetrów długości, około trzydziestu centymetrów szerokości i połowę tego wysokości. Gwendy natychmiast je chce, i nie tylko dlatego, że to piękna rzecz. Chce je dlatego, że ono do niej należy. Jak coś naprawdę cennego, naprawdę ukochanego, co straciła tak dawno, że prawie o tym zapomniała, ale teraz odnalazła. Jakby należało do niej w innym życiu, kiedy była księżniczką albo kimś takim.

– Co to jest? – pyta cichutko.

– Pudełko z guzikami – odpowiada mężczyzna. –
Twoje pudełko z guzikami. Patrz.

Przechyla je tak, że Gwendy widzi małe guziki na wieczku pudełka, sześć w rzędach po dwa i pojedyncze na obu końcach. Razem osiem. Te w parach to jasnozielony i ciemnozielony, żółty i pomarańczowy, niebieski i fioletowy. Jeden guzik na końcu jest czerwony. Drugi – czarny. Są też małe dźwignie na obu końcach pudełka i coś jakby szpara pośrodku.

– Te guziki bardzo trudno się przyciska – mówi Farris. – Trzeba użyć kciuka i porządnie napiąć mięśnie. I bardzo dobrze, możesz mi wierzyć. Nie chciałyś ich pomylić, o nie. Zwłaszcza tego czarnego.

Gwendy zapomniała, że powinna się bać tego człowieka. Jest zafascynowana i kiedy Farris wręcza jej pudełko, ona je bierze. Spodziewa się, że będzie ciężkie – przecież mahoń to ciężkie drewno, no i kto wie, co tam jest w środku – ale nie jest. Może je podrzucać na czubkach palców. Przesuwa palcem po szklistej, lekko wypukłej powierzchni guzików i niemal wyczuwa kolory rozjaśniające jej skórę.

– Dlaczego? Co one robią?

– Omówimy to później. Na razie zwróć uwagę na te małe dźwignienki. Znacznie łatwiej za nie pociągnąć, niż wcisnąć guziki; wystarczy twój mały palec. Kiedy po-

ciągniesz za tę na lewym końcu... obok czerwonego guzika... wypadnie czekoladka w kształcie zwierzątka.

– Ja nie... – zaczyna Gwendy.

– Nie przyjmujesz słodczy od obcych, wiem. – Farris przewraca oczami w taki sposób, że Gwendy chichocze. – Myślałem, że już to mamy za sobą, Gwendy.

– Nie to chciałam powiedzieć. Chciałam powiedzieć, że nie jem czekolady. Nie tego lata. Jak miałabym stracić na wadze, jeśli jadłabym słodczy? Proszę mi wierzyć, jak już zacznę, nie mogę przestać. A czekolada jest najgorsza. Jestem jakby czekoladoholiczką.

– Ach, ale w tym właśnie tkwi piękno czekoladek, które wydziela pudełko z guzikami – mówi Richard Farris. – Są małe, niewiele większe od żelków, i bardzo słodkie... ale kiedy zjesz jedną, nie chcesz następnej. Masz apetyt przy posiłkach, ale nie chcesz żadnych dodatków. I nie masz ochoty na żadne inne przekąski. Zwłaszcza te nocne, zabójcze dla talii.

Gwendy, aż do tego lata mająca zwyczaj robić sobie kanapkę z masłem orzechowym i pianką cukrową na godzinę przed pójściem do łóżka, dokładnie wie, o czym on mówi. Poza tym zawsze po porannym biegu ma wilczy apetyt.

– To wygląda na jakiś okropny produkt dietetyczny – mówi. – Taki, który napycha żołądek, a potem człowiek sika jak najęty. Moja babcia próbowała czegoś takiego i po tygodniu się od tego pochorowała.

– Nic z tych rzeczy. Tylko czekolada. Ale czysta. Nie jak batoniki ze sklepu. Spróbuj.

Gwendy zastanawia się nad propozycją, ale niezbyt długo. Zagina mały palec wokół dźwigienki – jest tak maleńka, że trudno ją obsługiwać innymi palcami – i pociąga. Szczelina się otwiera. Wysuwa się wąska drewniana półeczka. Na niej leży czekoladowy królik, nie większy od żelka, dokładnie jak mówił pan Farris.

Gwendy podnosi królika i ogląda z podziwem i zachwytem.

– Łau. Jakie ma uszka! I futerko. I śliczne małe oczka.

– Tak – zgadza się pan Farris. – Piękna rzecz, prawda? Teraz go schrup! Szybko!

Gwendy robi to bez namysłu i słodycz zalewa jej usta. On ma rację, nigdy nie jadła tak dobrego batonika Hersheya. Nie pamięta, żeby kiedykolwiek jadła coś tak dobrego. Ten przepyszny smak czuje nie tylko w ustach; czuje go w całej głowie. Rozpływa się na języku, a tymczasem półeczka wsuwa się z powrotem i szczelina się zamyka.

– Dobrze? – pyta Farris.

– Mmm.

Tylko na tyle ją stać. Gdyby to był zwykły cukierek, zachowałaby się jak szczur w eksperymencie naukowym, ciągnęła za tę dźwigienkę, dopóki by jej nie złamała albo dopóki dozownik nie przestałby wydawać. Ale nie chce

następnej czekoladki. I chyba też nie wstąpi na slushee do baru po drugiej stronie placu zabaw. Wcale nie jest głodna. Jest...

– Jesteś usatysfakcjonowana? – pyta Farris.

– Tak! – To jest to słowo, dokładnie. Jeszcze nigdy nic jej tak nie usatysfakcjonowało, nawet dwukołowy rower, który dostała na dziewiąte urodziny.

– To dobrze. Jutro pewnie będziesz chciała następną i będziesz mogła ją dostać, ponieważ będziesz miała pudełko z guzikami. To twoje pudełko, przynajmniej na razie.

– Ile czekoladowych zwierzątek jest w środku?

Zamiast odpowiedzieć na pytanie, mężczyzna zachęca ją, żeby pociągnęła za dźwignię po drugiej stronie pudełka.

– Czy to daje inne słodycze?

– Spróbuj, to zobaczysz.

Gwendy zagina mały palec wokół dźwignienki i ciągnie. Tym razem, kiedy półeczka wysuwa się ze szczeliny, leży na niej srebrna moneta, taka duża i błyszcząca, że odbity od niej blask poranka razi w oczy. Gwendy bierze ją i półeczka wsuwa się z powrotem. Moneta ciąży jej w dłoni. Jest na niej profil kobiety, która ma na głowie coś w rodzaju tiary. Pod spodem biegną półkołem gwiazdy, a pomiędzy nimi data: 1891. Na górze słowa: *E Pluribus Unum*.

– To jest dolar Morgana – oznajmia Farris tonem wykla-

dowcy. – Prawie pół uncji czystego srebra. Zaprojektowany przez pana George’a Morgana, który miał zaledwie trzydzieści lat, kiedy na tak zwanym awersie monety wygrawerował podobiznę filadelfijskiej matrony Anny Willess Williams. Na rewersie jest amerykański orzeł.

– Jest piękny. – Gwendy wzdycha, a potem z ogromną niechęcią podaje mu monetę.

Farris krzyżuje ręce na piersi i kręci głową.

– To nie jest moje, Gwendy. Jest twoje. Wszystko, co wychodzi z tego pudełka, jest twoje... czekoladki, monety... ponieważ pudełko jest twoje. Nawiasem mówiąc, obecna wartość numizmatyczna tego dolara Morgana wynosi prawie sześćset dolarów.

– Ja... nie mogę go przyjąć – broni się Gwendy. Własny głos wydaje jej się odległy. Ma wrażenie (jak dwa miesiące wcześniej, kiedy zaczęła biegać po Schodach Samobójców), że zaraz zemdleje. – Nie zrobiłam nic, żeby na niego zasłużyć.

– Ale zrobisz. – Farris wyjmuje z kieszeni czarnej marynarki staroświecki zegarek z dewizką. W oczy Gwendy strzelają następne strzały blasku, tylko tym razem złote, nie srebrne. Mężczyzna otwiera wieczko zegarka i spogląda na tarczę. Potem zatrząskuje kopertę i wrzuca zegarek z powrotem do kieszeni. – Czas mi się kończy, więc patrz na guziki i słuchaj uważnie. Zgoda?

– T... tak.

– Najpierw schowaj srebrnego dolara do kieszeni.
Rozprasza cię.

Gwendy wykonuje polecenie. Czuje na udzie ciężki krążek monety.

– Ile jest kontynentów na świecie, Gwendy? Wiesz?

– Siedem – odpowiada. Uczyli się tego w trzeciej czy czwartej klasie.

– Właśnie. Ale ponieważ Antarktyda jest praktycznie pusta, nie jest tutaj przedstawiona... oczywiście oprócz czarnego guzika, ale do tego dojdziemy. – Po kolei lekko stuka w wypukłe powierzchnie guzików połączonych w pary. – Jasnozielony: Azja. Ciemnozielony: Afryka. Pomarańczowy: Europa. Żółty: Australia. Niebieski: Ameryka Północna. Fioletowy: Ameryka Południowa. Nadążasz za mną?

– Tak – odpowiada bez wahania. Zawsze miała dobrą pamięć i przychodzi jej do głowy szalona myśl, że ta przepyszna czekoladka, którą zjadła, dodatkowo wspomaga jej koncentrację. Nie wie, co to wszystko znaczy, ale czy pamięta, który kolor symbolizuje który kontynent? Absolutnie. – A czym jest czerwony?

– Czymkolwiek zechcesz – odpowiada Farris. – A zechcesz na pewno, właściciel pudełka zawsze tego chce. To normalne. Chęć poznawania i chęć działania to podstawowe cechy rasy ludzkiej. Eksploracja, Gwendy! Jednocześnie choroba i lekarstwo!

Ja już nie jestem w Castle Rock, myśli Gwendy.

Przeniosłam się do jednego z tych miejsc, o których lubię czytać. Do Narnii, krainy Oz albo do Hobbitonu. To się nie dzieje naprawdę.

– Pamiętaj tylko – ciągnie mężczyzna – że czerwony guzik to jedyny guzik, którego możesz użyć więcej niż raz.

– A czarny?

– To jest wszystko – mówi Farris i wstaje. – Cały ten kram. Wielka szycha, jak powiedziałby twój ojciec.

Ona wytrzeszcza na niego oczy. Jej ojciec rzeczywiście tak mówi.

– Skąd pan wie, że mój oj...

– Przepraszam, że przerywam, to bardzo niegrzeczne, ale naprawdę muszę już iść. Pilnuj tego pudełka. Daje prezenty, ale to niewielka rekompensata za odpowiedzialność. I bądź ostrożna. Jeśli twoi rodzice je znajdą, będą pytać.

– O mój Boże, jeszcze jak – przyznaje Gwendy i parska krótkim, zduszonym chichotem. Czuje się tak, jakby coś ją walnęło w żołądek. – Panie Farris, dlaczego pan mi to daje? Dlaczego właśnie mnie?

– Na tym waszym świecie – odpowiada Farris, spoglądając na nią z góry – są zmagazynowane całe arsenały broni, która może na milion lat zniszczyć wszelkie życie na tej planecie. Mężczyźni i kobiety, którzy za nie odpowiadają, codziennie zadają sobie to samo pytanie. Wypadło na ciebie, bo nie było nikogo lepszego w tym

miejscu i czasie. Pilnuj pudełka. Radzę ci, żebyś nikomu go nie pokazywała, nie tylko rodzicom. Bo ludzie są ciekawi: kiedy widzą dźwignię, chcą za nią pociągnąć. A kiedy widzą guzik, chcą go nacisnąć.

– Ale co się stanie, jeśli to zrobią? Co się stanie, jeśli ja to zrobię?

Richard Farris tylko się uśmiecha, kręci głową i rusza w stronę klifu, gdzie stoi tablica z napisem: UWAGA! DZIECIOM PONIŻEJ 10 LAT WSTĘP WZBRONIONY BEZ OPIEKI DOROSŁYCH! Potem się odwraca.

– Hej! Dlaczego nazywają je Schodami Samobójców?

– Bo jakiś mężczyzna z nich skoczył w tysiąc dziewięćset trzydziestym czwartym roku czy coś koło tego – odpowiada Gwendy. Trzyma pudełko z guzikami na kolanach. – Potem, cztery czy pięć lat temu, skoczyła z nich kobieta. Mój tata mówi, że rada miejska chciała je zdjąć, ale wszyscy w radzie to republikanie, a republikanie nienawidzą zmian. W każdym razie tak mówi mój tata. Jeden radny powiedział, że schody są atrakcją turystyczną, bo właściwie są, i że jedno samobójstwo co trzydzieści pięć lat to nie takie straszne. Obiecał, że jeśli to wejdzie w modę, zrobią następne głosowanie.

Pan Farris się uśmiecha.

– Małe miasteczka! Jak ich nie kochać!

– Odpowiedziałam na pana pytanie, teraz niech pan odpowie na moje! Co się stanie, jeśli nacisnę któryś

z tych guzików? Co się stanie, jeśli nacisnę na przykład ten, który przedstawia Afrykę?

I jak tylko dotyka kciukiem ciemnozielonego guzika, ogarnia ją chęć – niezbyt silna, ale wyraźna – żeby go nacisnąć i samej sprawdzić.

Uśmiech Farrisa staje się szyderczy. Niezbyt miły, w opinii Gwendy Peterson.

– Po co pytać, skoro już wiesz?

Ponieważ Gwendy nie może znaleźć słów, mężczyzna rusza w dół po schodach. Ona siedzi jeszcze przez chwilę na ławce, potem wstaje, biegnie na zardzewiały żelazny podest i spogląda w dół. Chociaż pan Farris miał za mało czasu, żeby zejść na sam dół – o wiele za mało – zniknął bez śladu. Albo prawie bez śladu. W połowie schodów, jakieś sto pięćdziesiąt żelaznych stopni niżej, leży jego mały, schludny czarny kapelusz, porzucony albo zdmuchnięty przez wiatr.

Gwendy wraca na ławkę i wkłada pudełko z guzikami – swoje pudełko z guzikami – do brezentowego worka. Potem schodzi po schodach; przez cały czas trzyma się poręczy. Kiedy dociera do małego okrągłego kapelusza, waha się, czy go podnieść, w końcu jednak kopniakiem strąca go w bok i patrzy, jak kapelusz, wirując, spada na ziemię i ląduje w chwastach. Kiedy tam wraca później tego samego dnia, kapelusza już nie ma.

Jest dwudziesty drugi sierpnia 1974 roku.